

## LUCYNA MIJAL

ur. 1952; Wrocław



Miejsce i czas wydarzeń	Konstancin, Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Obory (k. Konstancina) ; Lublin ; PRL ; środowisko kabaretowe ; życie kulturalne ; występy kabaretowe ; koncerty ; Bractwo Satyryczne Loża 44 ; kabaret Loża 44 ; Fragment większej całości (program kabaretu Loża 44) ; Wyrobisko (program kabaretu Loża 44) ; Rozpuszczalnik (program kabaretu Loża 44) ; W kolejce (program kabaretu Loża 44) ; W noclegowni (program kabaretu Loża 44) ; 5-lecie Łoży 44 ; środowisko studenckie ; akademik UMCS przy ulica Zana ; Filharmonia Lubelska ; Chór Akademicki KUL ; Chór Akademicki UMCS ; Radio Akademickie UMCS ; Radio Centrum ; wychowanie muzyczne ; TVP Kraków ; Błazucki, Lech ; Błesznowska, Danuta ; Błesznowski, Edward ; Brodzki, Stanisław (1916-1990) ; Brzostowska, Jadwiga ; Brzechwa, Jan (1898-1966) ; Czerwińska, Ewa ; Czerwińska, Jadwiga ; Dubejko, Janusz ; Ejsmond, Wojciech ; Leśmian, Bolesław (1877-1937) ; Michalec, Grzegorz ; Mijał, Marek (1955- ) ; Mikuś, Wiesław ; Natanek, Adam (1933- ) ; Świca, Leszek (1957- ) ; Szymański, Irosław (1946- ) ; Tokarzewski, Dariusz ; Wójcik, Piotr

### 1. Z tego szczęścia

Jesienią [1974 roku] już zaczęłam bywać na próbach [Loży 44], a w [19]75 już były programy, już jeździłam z zespołem na występy i na różne konkursy. Między innymi wtedy pojechaliśmy na ten [konkurs] do Krakowa. Potem było pięciolecie, które było ogromnym wysiłkiem, ale też wielkim wyzwaniem i wspaniałym przeżyciem. Jest jeszcze jedna anegdota związana z tym pięcioleciem. Nie tylko ta z młotkiem i tymi kapiszonami nieszczęsnymi. Właśnie wtedy mój przyszły mąż wykazywał zainteresowanie mną i zauważył to jeden z naszych kolegów, takich, którzy już nie byli w Łoży, ale przyjechali na pięciolecie, Janusz Jedynak. On za kulisami miał alkohol. A my tak strasznie to przeżywaliśmy, że jest tak miło, jesteśmy tacy akceptowani, że ja się tego alkoholu napiłam trochę. Tylko trochę, bo wiedziałam, że nie wolno więcej, bo to na głos przecież szkodzi. I z tego szczęścia, z tej radości, że jest tak fajnie, ja się za szybko przebrałam do jednej piosenki. Przebrałam się [w kostium] do piosenki o zimie, którą śpiewałam z kolegą Leszkiem Błazuckim, a wyszłam z kolegami śpiewać chórki do piosenki „Bolero” chyba. A do tej piosenki

„Zima” miałam koszulkę nocną, jakąś czapeczkę puchatą, rękawiczki grube i tak wyszłam śpiewać chórki do tego „Bolero” Cieszę się, że Irek nigdy mi nie zwrócił za to uwagi. Wtedy myśmy w taki specjalny sposób wychodzili na scenę – wychodziliśmy z [rozłożonego] na scenie namiotu. I ja taka zadowolona, przebrałam się, spokojna, że jestem przygotowana do swojej piosenki, czekam na duet z Leszkiem Błazuckim, a tu słyszę „Bolero” A przecież ja tam śpiewam, więc muszę wyjść, trudno. Przebrałam się [nie w to, co trzeba], ale już nie ma wyjścia. Tak było, że z tego szczęścia i z tego nadmiaru emocji różne rzeczy mi się przydarzały.

## 2. Programy Łoży 44

Kiedy przyszedłam do Łoży w [19]74 rok, oni byli już chyba po trzech albo czterech programach. Byli po „Morbusie” „Skryptach z krypty” i po „Memento Mori [Blues]” Przyszedł czas na „Wyrobisko” W międzyczasie Irek robił tak zwany „Rozpuszczalnik” „Rozpuszczalnik” i „Wyrobisko” Pojawiły się w [programie] na pięciolecie, w [19]76 roku. „Wyrobisko” to był też świetny program, naprawdę. Po „Wyrobisku” był „Fragment [Większej Całości]” Po „Fragmencie” w wyniku wielu naszych prezentacji w różnych miejscach w Polsce zaproszono nas do Telewizji Krakowskiej, gdzie najpierw chyba [nagraliśmy] „Fragment większej całości” Następny program [dla telewizji] to był właśnie „Rozpuszczalnik” a potem już były „[Spotkania z] Balladą” Ja brałam udział w dwóch „Balladach” pierwsza to była „Ballada Medyczna” [„Medyczne Spotkanie z Balladą”, a druga „Piekielna” [„Piekielne Spotkania z Balladą”]. A potem to już ja miałam takie swoje zdrowotne różne historie i zatrzymałam się. Później, to był chyba rok [19]83, pojawił się program „W kolejce” do którego próby oczywiście odbywały się w Norze. Potem ja znowu odskoczyłam, bo od [19]84 roku już byłam nastawiona na dzieci. I to trwało, trwało, bo dzieci się pojawiły, a potem rosły. Aż do dwutysięcznych lat, kiedy znowu się spotkaliśmy. To znaczy, moi koledzy kontynuowali ten program telewizyjny „Co jest grane” a przede wszystkim z Jurkiem Rogalskim występowali właśnie w „Spotkaniach z Balladą” Więc to cały czas się toczyło. Łoża żyła. Świetne były te programy, świetne teksty Irka, ale, jeśli o mnie chodzi, to [działo się] już poza mną. Ciężar popularności Łoży dźwigali na sobie właściwie Maciek Wijatkowski, Grzesio Michalec i Jurek Rogalski. Do nich dołączali aktorzy krakowscy oczywiście, bo programy „Co jest grane” były realizowane w krakowskim oddziale Telewizji Polskiej. To jest naprawdę znakomity, świetny cykl. To jest też doskonały dokument historyczny, bo to, co oni tam mówią i jak mówią [pokazywało], co ludzie mogli, co im było wolno, na co ich było stać. To jest właśnie to pasmo, w którym ludzie musieli się wtedy poruszać, a które dzisiaj jest nam zupełnie nieznane. I mam nadzieję, że nigdy do tego nie [wrócimy]. A oni to pięknie robili. Potem na początku 2000 roku Irek chyba najpierw zrobił – z tego, co ja pamiętam, bo również mnie to dotyczyło – taki program „W noclegowni” I to wtedy właśnie w tym programie tak naprawdę zetknęłam się na scenie z Darkiem Tokarzewskim. Strasznie fajny człowiek z ogromną intuicją sceniczną. On nie tylko

śpiewa, on potrafi też i coś powiedzieć i zagrać jak trzeba. Naprawdę, to jest taki pełny luz. Znakomity kolega, bez zarozumiałstwa, bo wiadomo Darek śpiewał w „Voxie” więc mógłby trochę nosa zadrzeć przy nas. Ale nigdy tego nie robił i bardzo to u niego szanuję. I ta „Noclegownia” z tego, co pamiętam najpierw chyba była pokazana w Domu Kultury [LSM] na Wallenroda. Tam były dwa albo może nawet trzy, występy. Tak mi się wydaje. „W noclegowni” było super. Strasznie mi się ten program podobał, bardzo. Naprawdę. „Noclegownię” prezentowaliśmy również –nie wiem, czy ktoś sobie zdawał sprawę z tego, co to jest za program, ale zaangażowano nas i zagraliśmy ją na scenie w nowym Centrum Akademii Medycznej na Jaczewskiego, gdy Luxmed miał jakąś rocznicę. Generalnie programy Łoży nigdy nie nadawały się na żadne rocznice, bo to były programy, po których się wychodziło mając w głowie tak dużo, trochę też po plecach się czasami dostawało. Ale program bardzo się podobał. Co może dziwne, bo w Luxmedzie to na ogół są ludzie sukcesu, a pokazać im program „W noclegowni” gdzie trzech takich szuka miejsca na nocleg, opowiada o swoim życiu i prezentuje wszystkie wynikające z tego morały, to było [ryzykowne]. W każdym razie bardzo się podobało. Potem był program, który nazywał się w zasadzie „Kolędnik polski” „Kolędnik polski” był prezentowany w Hadesie i chyba też w tym Domu Kultury na LSM-ie, na Wallenroda, bo tam robiliśmy próby. Fajnie nam tam było w tym Domu Kultury. Dostaliśmy miejsce na próby, właściwie w takiej w suterenie, ale naprawdę, jak na nasze wtedy potrzeby to było super. To Maciuś Wijatkowski chyba nam załatwiał. Bardzo to było fajne. Z tym programem też pokazywaliśmy się w różnych miejscach. Ale chyba najfajniej te „Kolędy” robiło się w Hadesie. Tam była taka atmosferka szczególna i to było bardzo sympatyczne. Już „Fragment” taki był, bo takie były czasy po prostu. Irek opowiadał, że jak byliśmy z „Fragmentem” w Zakopanem, to został zaproszony przez pracowników tego teatru, postawili flaszkę, mówią: „Stary, tu” pokazali na serce. Tak bardzo to przeżyli. I musieli z nim to uczcić. Irek musiał to [z nimi] uczcić, chociaż on zupełnie nie jest od tych rzeczy. Rzeczywiście, ten program robił takie wrażenie, że na koniec [wśród] publiczności była po prostu cisza. Zawsze. Bo ostatnia piosenka –mnie się jeszcze dzisiaj gardło ściska, to była piosenka, która nazywała się chyba „Modlitwa” albo „Tysiące kilometrów” i zaczynała się [od słów] „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj panie” To jest przepiękna piosenka, przepiękna. Bardzo prawdziwa, taka mówiąca dużo o tym, czego chociażby ludzie potrzebowali w tamtych czasach. Trzeba by posłuchać tych utworów, trzeba by przeczytać tekst. Z tekstem Irka jest tak, że w każdej linijce jest myśl. Te teksty ciężko się śpiewało ze względu na dykcję. Myśmy naprawdę długo ćwiczyli na przykład [piosenkę], którą ja zaczynałam w „Wyrobisku” czy we „Fragmencie” teraz nie pamiętam, tam, gdzie na samym początku trzymaliśmy latarki, żeby każdy wiedział, że to jest w mroku. I ja musiałam szybko zaśpiewać: „W mroku wszystko wokół jest podobne” Chodziłam i ćwiczyłam to: „ W mroku wszystko wokół jest podobne” A moi koledzy, oczywiście, przeinaczali tekst i, jak mówiłam, na próbie był drugi program. Ale to tylko właśnie podnosiło fajnie

atmosferę i dobrze, bo była odpowiednia temperatura i fajnie się pracowało. Więc tak, jak powiedziałam –jedna myśl w każdej linijce. Uważam, że Irek właśnie pisze, i to mi się zawsze podobało u niego najbardziej, on pisze uniwersalnie, bo on pisze o naszych niedobrych cechach, o naszych ułomnościach. I o tym mówi, i śpiewa w swoich piosenkach. O tym, że jesteśmy zawistni, że chętnie kogoś popchniemy, że kłamiemy, że kradniemy, że oszukujemy, że nie mówimy prawdy, że zazdrościmy. Te wszystkie nasze takie brzydkie cechy. Że jesteśmy naiwni też, bo jesteśmy, prawda? Więc Irek jest takim moralistą i mnie się to bardzo podobało.

### **3. Teksty wiązały nas najbardziej**

U Irka to podobało mi się najbardziej, że on właśnie mówił to, co mnie też [poruszało]. I myślę, że cała Loża sklejała się dlatego, że mieliśmy podobne poglądy na pewne tematy. I właściwie chyba treści, które on miał w swoich tekstach wiązały nas najbardziej, bo tam nikt nie był karierowiczem. Jak ktoś przychodził do Loży i myślał że dostanie piosenkę, wyjdzie na scenę, zaistnieje i będzie [gwiazdą], to niestety taki ktoś się mylił. Rzeczywiście były takie osoby, które przychodziły i nie potrafiły się przykleić. Nie łapały tej naszej atmosfery i tego, co nas wiąże. Ale to jest normalna cecha, tak się dzieje we wszystkich zespołach. Tak to po prostu jest. Teraz, kiedy robiliśmy spotkania, to było nas siedemdziesiąt kilka osób, tyle osób przewinęło się przez Lożę. A tych piosenek takich najbardziej znanych, które ja zresztą spisuję z nagrań, z pamięci i z tekstów niekiedy, które jeszcze zachowałam, już mam listę sześćdziesięciu dziewięciu tytułów. Sześć sześćdziesiąt dziewięć piosenek. To jest naprawdę dużo. Irek napisał też dwie książki. Ja właśnie nie bardzo znam te teksty, bo gdzieś tak od [19]84 roku, aż do 2000 byłam wyłączona. Potem dopiero w książkach je odnajdywałam. One były już trochę inne, bo inne były czasy, a teksty Irka były zawsze takie troszeczkę aktualne, nawiązywały do tego, co się dzieje. Nie mniej jednak wydaje mi się, że wiele rzeczy z tego, co on mówił jest aktualnych do dzisiaj. Dużo, naprawdę. Tylko, że jakoś nie ma teraz, nie wiem, dlaczego, takich kręgów, czy ośrodków, które chciałyby reanimować pewne rzeczy, które były w przeszłości.

### **4. Lublin lat 70-tych**

Pamiętam, że za moich czasów, czyli jak byłam studentką, to w Lublinie był Teatr Gong 2 [Andrzeja] Rozhina. Był wspaniały chór na KUL-u, doskonały chór i teatr KUL-u, też doskonały. Był również chór UMCS-u, w którym śpiewałam do [19]75 roku. Coś w tej kulturze się działo.

### **5. Dla mnie scena rzeczywiście była przyjemnością**

Od [19]74 dużo u mnie się działo, bo w [19]76 roku już kończyłam studia, więc i praca magisterska, a tu jeszcze Loża. Trzeba było to jakoś pogodzić. W [19]75 byliśmy z chórem UMCS-u na takim międzynarodowym, europejskim festiwalu chórów.

W Belgii w Neerpelt. W konkursie śpiewaliśmy chyba pięć utworów, mieliśmy między innymi utwór współczesnego kompozytora belgijskiego, który zasiadał w jury. Utwór nazywał się „Salve Regina” i był totalnie atonalny, tak to nazwę. Zupełnie inny, niż to, co śpiewaliśmy dotychczas. Była tam do zaśpiewania solowa partia, cztery takty dla sopranu. Mieliśmy taką fajną koleżankę, to była taka postawna dziewczyna, miała silny głos i ona zawsze to ćwiczyła, ale przed koncertem, mówi: „Pani magister ja nie zaśpiewam” Tak ją trema ścięła, że po prostu wiedziała, że nie da rady. [Na szczęście] kiedyś na próbie, a byliśmy wtedy w Zaklikowie w tym Ośrodku Młodzieżowym, w takim zameczku, świętej pamięci Jadzia Czerwińska, nasza pani dyrygentka, mówi: „Pani Lucyno, to może pani to teraz zaśpiewa na próbie?” I ja to sobie zaśpiewałam. Chodziło o to, że ten sopran miał wyjść od ostatniego dźwięku, który śpiewają alty. Od tego dźwięku ja łapałam oktawę i od tej oktawy jeszcze tercję i wtedy wiedziałam, że to jest ten dźwięk. Teraz już nie zaśpiewam z moim gardłem i głosem. Ale wtedy miałam to tak wbite w głowę i scena chyba rzeczywiście była dla mnie przyjemnością, więc kiedy pani Jadzia [zapytała]: „Pani Pszczoła –bo tak na mnie mówiono –zaśpiewa pani” Mówię: „Dobra” I tak było. Chór spadł o cały ton, a ja zaśpiewałam. To nie było nic niezwykłego. Takie rzeczy się zdarzają. Zresztą nasz chór był, można powiedzieć, dosyć profesjonalny, bo tam był prawie cały nasz rok wychowania muzycznego, więc wszyscy czytali nuty, mieli słuch i tak dalej. Myśmy wtedy zdobyli Grand Prix. Chór miał fantastyczny koncert. Naprawdę to była kosmiczne przeżycie, tego się nie da z niczym porównać. Ja zawsze namawiałam dzieci: „Róbcie cokolwiek ze sobą, bo to wam daje życie na zupełnie innym poziomie i to tak wzbogaca na całe życie, naprawdę jest jak źródło, do którego zawsze można wrócić i się odbić” Kiedyś, jeszcze za czasów pana Adama Natanka, dyrektora Filharmonii Lubelskiej i dyrygenta, śpiewaliśmy IX Symfonię. Wiadomo, że Beethoven, jak to komponował, już był głuchy. Kierował się tylko harmonią i tym, co słyszał wewnątrz. I jest coś takiego, jest taka dyspozycja do śpiewania, że człowiek czuje się jak instrument po prostu, w ogóle nie ma rąk, nie ma nóg, nie ma nic, tylko mózg, który mówi, który wie, co ma robić. I właśnie ja tak się w tym finale poczułam. To było tak ogromne dla mnie przeżycie, że czułam nagle, jak mi tutaj łzy lecą po prostu. Normalnie trudno mnie zmusić do płaczu, trzeba się bardzo starać, ale wtedy to było coś, co stało się poza moją świadomością. To są szczególne przeżycia, szalenie pozytywne.

## **6. Dlatego przyjechałam do Lublina**

Na pierwszym roku byłam taka trochę [przestraszona], jak to dziewczynka, która pierwszy raz wyjechała z domu. Podczas egzaminu przyjaciółka mówi: „Słuchaj ten akademik jest koedukacyjny. Wiesz, co tam się dzieje? Alkohol” To ja: „Nie, broń Boże” I mieszkałam na stacji. Ale po pół roku już poznałam troszeczkę osób i mój kolega Andrzej Krupczyński mówi tak: „Ty, Pszczoła, po co ty mieszkasz na stacji, jak możesz mieszkać w akademiku” I ja się odważyłam, zamieszkałam w akademiku.

Jak zamieszkałam w akademiku, poznałam bardzo wiele osób. Były już wtedy zajęcia z emisji głosu i pani Czerwińska zwróciła na mnie uwagę i to ona właściwie powiedziała mi, że powinnam śpiewać w chórze. Mówię, że bardzo chętnie, bo w chórze tak naprawdę śpiewałam od trzeciej klasy szkoły podstawowej. Właśnie u pana Pogorzelskiego, który był moim nauczycielem w podstawówce w Konstancinie, był moim nauczycielem muzyki w Piasecznie pod Warszawą i potem tutaj, na uczelni. To on powiedział mi właśnie, że [w Lublinie] jest taki kierunek. Ja dlatego przyjechałam do Lublina, bo ja tak kochałam muzykę, że musiałam coś z muzyką robić. W zasadzie skończyłam studia nauczycielskie, ale tak naprawdę myślałam, że będę prowadziła chór, bo to jest moja największa miłość. Tymczasem, kiedy miałam praktykę, jeszcze byłam studentką, to jedna z pań nauczycielek [spytała] „Co pani zamierza robić po studiach?” Ja mówię: „Nie wiem, chciałabym chór [prowadzić]” A ona powiedziała coś takiego – „Nie, nie, proszę pani. Pani powinna być nauczycielem, bo to jest pani główne powołanie” Ja myślę: „Jezu, niemożliwe. Ja nauczycielem” Bo jeszcze człowiek był młody, a zawód nauczyciela tak troszeczkę tracił ten szacunek społeczny, bo w kraju dużo się działo i tak różnie to było. Ale zostałam nauczycielem, chyba dlatego, że rzeczywiście miałam taką potrzebę nauczania, wychowywania. Skończyło się na pracy w szkole. I to w jednej szkole trzydzieści parę lat pracowałam. Tak, że w pewnym momencie też już zaczęłam uczyć dzieci swoich uczniów, co też jest bardzo fajne.

## 7. Przygoda z chórem

Pierwszy występ z chórem może być trudno [sobie przypomnieć], bo my śpiewaliśmy, jako chór UMCS-u i bardzo często występowaliśmy przy różnych okazjach. W Chatce Żaka występowaliśmy bardzo często, bo te wszystkie uroczystości uniwersyteckie odbywały się najczęściej tam, u nas na wydziale śpiewaliśmy, bo też była aula tutaj na Narutowicza i w wielu innych miejscach. Rozpoczęłam studia w [19]72 roku i już w [19]73, to ten sam rok akademicki, ale następny kalendarzowy, śpiewałam z chórem. I trwało to gdzieś tak do [19]76 roku. Wyjeżdżaliśmy na wspaniałe wyjazdy i na wakacje. Zresztą do Bułgarii chyba ze dwa razy. Fajnie było. Też tam koncertowaliśmy okolicznościowo. Bardzo dobrze pamiętam i wspominam też ten wyjazd do Belgii, dlatego, że tam koncertowaliśmy głównie w kościołach i zawsze było bardzo dużo publiczności. Ja to w tym społeczeństwie bardzo podziwiałam, że oni tak licznie przychodzili na te koncerty. Bo Neerpelt, to jest mała miejscowość w sumie. Często występowaliśmy na rozpoczęcie roku akademickiego, z okazji nadania komuś tytułu [naukowego] i na jakieś bardzo szczególne i uroczyste okazje uniwersyteckie. I była też taka [sytuacja]. Śpiewaliśmy IX Symfonię [Beethovena], przed ostatnim zaprezentowaniem tematu, który teraz jest hymnem Unii Europejskiej, orkiestra ma takie trzy modulacje po to, żeby chór wszedł w swojej tonacji, czyli dopiero za czwartym razem wchodzi chór. I pan dyrygent usłyszał to, a chór nic. On dyryguje, skończył ten takt, a chór nic. Tak było trzy razy, a za czwartym razem chór

wszedł sam. To jest właśnie profesjonalizm. Było super.

Przede wszystkim [współpracowaliśmy] z Filharmonią Lubelską, śpiewaliśmy między innymi Beethovena, „Requiem” Mozarta. Ale ja już nie śpiewałam wtedy w chórze, bo to było pod koniec moich studiów i musiałam już pisać pracę [magisterską]. Ta współpraca wynikała też z tego, że ponieważ z panem [Adamem] Natankiem mieliśmy zajęcia, które nazywały się „Chór” więc czasami chodziliśmy [do Filharmonii] na próbę, jak prowadził ją pan Natanek. Przychodził pierwszy i drugi rok, my wszyscy tworzyliśmy chór. Czasem któryś ze studentów stawał i było czytanie a wista, a czasami była to partytura, z której trzeba było być przygotowanym. Ja miałam taką przygodę właśnie na dyrygowaniu. Przyszedł kolega Adaś Galant, który pracował w radiu lubelskim i miał takie brązowe cienkie papieroski, a takich jeszcze nie paliłam, w ogóle chyba jeszcze nie paliłam papierosów. Mowie: „O, Adasiu pokaż, pokaż, pokaż” A on mówi: „Chcesz jednego? Masz” Dał mi tego papierosa, a w tym momencie wchodzi pan Natanek. To my wszyscy na miejsce, a ja tego papieroska za ucho. I wtedy właśnie były zadane trzy utwory, które mieliśmy znać do dyrygowania. Pan Natanek usiadł i mówi: „To, kto dzisiaj nam zadyryguje popatrz na mnie – „Może pani” Jezu, zdrętwiałam, byłam tak przerażona. To było „Gaude Mater Polonia” bardzo powolne i na cztery. Wiedziałam, że ja muszę się mocno angażować, bo gdyby mi to wyleciało z za ucha byłby wielki wstyd. Ale jakoś to poszło. Dzisiaj to by inaczej wyglądało, wyjęłabym, odłożyła i byłoby ok.

Długo można by opowiadać. Mnie na przykład scena zawsze mobilizowała. Bardzo mi to pomogło w mojej pracy nauczycielskiej, bo ja przecież wielkością nie straszę i dyscypliny też tym nie wprowadzę, więc wiedziałam, że muszę przykuć uwagę i muszę być pewna [tego, co robię]. I to rzeczywiście wykorzystałam w pracy. Zresztą bardzo lubiłam swoją pracę, bo bardzo polubiłam dzieci. Dzieci są super. Najlepiej jest przez czterdzieści pięć minut w klasie. Gorzej jest przez pięć minut na przerwie, a jeszcze gorzej jak jest rada pedagogiczna.

## **8. Lata siedemdziesiąte obfitowały w turnieje**

Jeszcze jedna piękna anegdota mi się przypomniała. Lata siedemdziesiąte w tym takim medialnym życiu publicznym obfitowały w różne [turnieje] i teleturnieje. I tutaj w Lublinie odbył się taki turniej międzyuczelniany. To był finał albo półfinał, [rywalizowały] Akademia Rolnicza i Akademia Medyczna. Konkurencje różne były –wierszyk, piosenka, ale były też wybory najmilszej studentki. I w [19]74 roku ja je wygrałam. [Program] prowadził kolega z Łoży, jako przedstawiciel Akademii Medycznej i drugi kolega z Akademii Rolniczej. Na widowni w Chatce Żaka oczywiście władze uczelni i pełna publiczność. Szał, wycie, w ogóle doping ogromny. I co moi koledzy z Łoży wymyślili: –„Zaraz rozpoczniemy konkurs, ale właśnie policzyliśmy wszystkie literki w pełnej nazwie Akademii Rolniczej w Lublinie i wyszło nam –powiedzmy –trzydzieści siedem. I ciekawi jesteśmy, czy na takiej uroczystości, jak dzisiejsza znajdziemy tyle krawatów u kolegów z Akademii Rolniczej” To robił

Janusz Dubejko. Krawaty zostały zebrane. Powiązane. Zrobiła się z tego długa szarfa przez całą scenę. Przyszedł kolega z nożyczkami i poprosił rektora żeby otworzył [konkurs], czyli przeciął jeden z krawatów. Oczywiście pieniądze były zwrócone i tak dalej, ale sam pomysł był świetny, to to tak fantastycznie budowało atmosferę dobrej konkurencji. Dobrej. Tak, że było strasznie fajnie. Natomiast to było najmilsze, że ja wygrałam zupełnie niechcący, bo tak wszystkie szłyśmy łeb w łeb. [Startowały] różne wydziały UMCS-u. My byliśmy Pedagogiką i Psychologią. Trzeba było wyjść na ulicę, złapać jakiegoś przechodnia i przeprowadzić z nim wywiad. Na scenie. Ja ledwo wybiegłam, spotkałam moich dwóch kolegów z Łoży. To było po prostu szczęście. Gienia Maksymiuka i Marka Schellenberga. I Marek się wymigał, ale Gienio nie odmówił i zaprosiłam go na scenę. Już nie pamiętam nawet, o co go pytałam, tylko pamiętam, jak on coś opowiadał o krówkach, które muczą. To w ogóle wyglądało jakby było ustawione. A przecież ja nie wiedziałam, bo zresztą żadna z nas nie wiedziała, że będzie taka konkurencja. Więc działo się dużo i tak to splątało się ze sobą. Ale potem, kiedy już trochę przybyło różnych innych obowiązków, to trzeba było się uspokoić. Natomiast po pierwszym telewizyjnym występie Łoży, jak w telewizji pokazano „Fragment” ja już pracowałam. Przychodzę do szkoły –a miałam wychowawstwo, chyba wtedy jeszcze druga albo trzecia klasa –dzieci mnie zobaczyły, przybiegły: „Proszę pani, weźmie nas pani do telewizji” Wszystkie tak się na mnie obwiesiły. Bo to było wielkie wydarzenie, znaleźć się w telewizji, kiedy wydawało się, że jest to tak dalekie dla przeciętnego obywatela.

## 9. Ośrodki kultury studenckiej

Od razu powiem, że ja nie bywałam w kawiarniach. Słowo daje. Nie bywałam, bo nie miałam czasu. Dobrze, że miałam czas się uczyć. Przynajmniej trochę. Ale przypomniałam sobie teraz, że kiedy mieszkałam w akademiku na ulicy Zana, przez jakiś czas swoją siedzibę miało tam lubelskie Radio Centrum. Niedaleko obok pokoju mojego mieszkał Stasio Kolenda, Grzesio Michalec tam troszeczkę przebywał, więc go tak lepiej poznałam. Z najlepszej jego strony, która się nadawała do Łoży. Ja w tym Radio Centrum też próbowałam coś zrobić, przeprowadziłam wywiad chyba z naszym wykładowcą, panem Zenonem Koterem. Był tam też taki studencki Dom Kultury. W tym Domu Kultury też kiedyś Łoża wystąpiła. Po prostu, ja już byłam związana z Łożą i jednocześnie wiedziałam, że tam jest scena, że można zrobić przedstawienie. Więc dla mnie osobiście życie studenckie to były właśnie takie miejsca. Natomiast u mnie na wydziale, już nie pamiętam, w którym roku, ale w pewnym momencie powstała orkiestra dęta. Potem z tą orkiestrą dętą właśnie występowaliśmy przy różnych okazjach, ale właściwie to oni dla zabawy to robili. Ich to bawiło bardzo. Najbardziej popularny był utwór „Usta Mariana” Tak sobie nazwali, a to był taki właśnie typowy przebój na dęte instrumenty, dosyć znany. I czasem poszłam na ich próbę i posłuchałam, czasem byłam na próbie chóru. Dla mnie to było spędzanie czasu. Ja naprawdę na kawiarnie nie miałam czasu. Bywałam to prawda.



Na Zana mieliśmy taką kawiarnię Stokrotka. Tam się czasami poszło, ale ja po prostu nie piłam alkoholu, nie chodziłam na piwo. Nie chodziłam tak naprawdę na kawę, bo kawę to się wypilo gdzieś u kogoś na stacji, albo w akademiku. Pogadało się fajnie i tak dalej. I to było dla mnie wygodniejsze, bo do kawiarni to trzeba się ubrać, wystroić prawda. A tutaj liczyło się tylko to, o czym się mówi, z kim się mówi i co się mówi. I to się jakby dla mnie bardziej liczyło. Ośrodki kultury studenckiej to była na pewno Chatka Żaka. To na pewno był KUL, jako chórzystka bardzo ceniłam tamten chór, naprawdę świetny. Oczywiście od czasu do czasu w Norze coś się działo. Jeszcze tak szukam pamięcią, gdzie. Właściwie najbardziej takim istotnym ośrodkiem kultury studenckiej była Chatka Żaka. Tam się właściwie działo najwięcej. Były tam też jakieś takie mniejsze grupy artystyczne, które próbowały coś robić. Być może działo się coś w ośrodkach kultury miejskich, to jest oczywiste, ale ja wtedy nie miałam z nimi styczności i nie miałam świadomości, co tam się dzieje. Był Teatr Lubelski, oczywiście. Była Filharmonia Lubelska. I to było mi bliższe znacznie. Zresztą Irek dla teatru lubelskiego napisał też jakiś program za czasów, kiedy dyrektorem był pan Gogolewski. Więc te związki były troszeczkę bliższe. Chodziło się na przedstawienia, chodziło się na koncerty. Takie nawet fajne te koncerty niekiedy były, naprawdę. Ta salka filharmonii była maleńka, wygospodarowana z jakiegoś większego pomieszczenia, gdzie, jak śpiewał chór z orkiestrą, to żeńskie głosy stały na dole na scenie za orkiestrą, a już panowie musieli być na balkonie, bo się nie mieścili po prostu. Ale koncerty były naprawdę świetne.

#### **10. Popularność Łoży 44**

Nie wszyscy [byliśmy rozpoznawalni], ale to się okazuje bardzo często po latach, bo wtedy, kiedy byłam z Łożą, występowaliśmy i robiliśmy programy, to ja po prostu traktowałam to tak naturalnie, że to się robi po prostu. Ja nie myślałam o tym, czy ktoś mnie rozpozna na przykład. O tym nie myślałam zupełnie. Jakoś tak do głowy mi nie przychodziło. Natomiast okazuje się, że przy różnych spotkaniach teraz, kiedy się mówi o dawnych czasach, ludzie mojego pokolenia, prawda, albo rodzice moich [uczniów] mówią: „Tak, wszyscy żeśmy chodzili na Łożę, oczywiście. Tam była taka dziewczyna, sami faceci i tylko jedna dziewczyna” I mówią to do mnie, nie zawsze mnie poznając. Myślę, że [Łoża] była takim wentylem dla społeczności, zwłaszcza studenckiej. Pamiętamy takie nasze występy, które były właśnie takie bardzo przejmujące. Był taki występ w bloku obok tego, w którym my mieliśmy próby. Tam była salka, ile osób mogła zmieścić – może dwieście. Ale ludzie naprawdę przychodzili bardzo licznie i ten występ, o którym mówię, pamiętam dobrze, ze względu na emocje podniesione do kwadratu. I taka też była reakcja [publiczności], taka poruszająca bardzo, co mogło być związane z tym, co się aktualnie działo w kraju.

### **11. On tę scenografię sobie rysował**

Irek był autorem wszystkiego. Cały ten bałagan, ilość sprzętu i jego rozłożenie tworzyło obraz, atmosferę, która Irkowi odpowiadała albo nie. Jak czegoś było za dużo –o jedno krzesło, jakiś tam but, czy gazety, to rezygnowaliśmy. Ale on sobie rysował nawet tę scenografię, on sobie to wymyślał, a potem my staraliśmy się żeby to było na scenie. I wtedy to już każdy element był bardzo ważny, a jako elementy scenografii musiał być zapakowany tak jak należy, żeby się nie zgubił. Było to nieśmiertelne blaszane łóżko, które jest właśnie na tym zdjęciu. To łóżko było wykorzystywane w bardzo, bardzo wielu programach. I tych starszych i nawet we „Fragmencie” i „W Mroku” „W noclegowni” Często było tak, że każdy przynosił, co miał. Właśnie jakieś łóżko stare, jakieś krzesło ktoś gdzieś znalazł. Natomiast zgubił nam się jeden płaszcz skórzany, to już jest legenda w Łoży. I nie ma tego płaszcza do dzisiaj. To był taki płaszcz tajniaka. Ja nawet kiedyś miałam zdjęcie w tym płaszczu, w kapeluszu i jeszcze takiego kiepa mi tutaj chłopcy włożyli [w kącik ust]. Taki tajniak byłam. I ten płaszcz nam się gdzieś rozszedł, jak słowo daje ja go nie mam, nie mój rozmiar. A na mojego męża by nie wszedł, bo by był za mały. W każdym razie myślę, że większość tych sprzętów została zgromadzona przez ten pierwszy zespół Łoży, gdzie był właśnie Wiesio Mikuś, Wojtek Ejsmond, Wojtek Jedynek, Janusz Dubejko, Piotruś Wójcik, Leszek Błazucki oczywiście, Jędrus Maliński, który cudnie grał. To był ten pierwszy skład. I oni właśnie taki mieli zamysł. Irek zaraził ich tym pomysłem i oni tak mu te kłamoty różne zbierali

### **12. W grze aktorskiej amatorów jest wartość**

Ten program „W Kolejce” to jest ciekawa rzecz. Pamiętam była tam na początku piosenka „Tak tu pusto i cicho o zmierzchu” Ta jedna jedyna piosenka, której melodii ja tak naprawdę nie pamiętam, bo to taka była trochę melorecytacja. O, to była poruszająca bardzo piosenka. My, dziewczyny tam stałyśmy, tak jak kiedyś te kolejki się ustawiały. Ludzie tak się wtedy ubierali –to chuścina jakaś tam, płaszcz, coś ciepłego. Mimo, że lipiec to jednak noc, trzeba się ubrać. Tam akurat tego łóżka nie było, ale byli trzej panowie, którzy opowiadali rzeczywistość. Pamiętam, jak skończyliśmy to grać w Norze, pan Gogolewski był bardzo poruszony, bardzo mu się to spodobało. Myślę, że te występy moich kolegów pokazały, że w grze aktorskiej amatorów jest jakaś wartość. Nie ma tam warsztatu, nie ma profesjonalizmu, ale jakaś taka wartość nie chce powiedzieć autentyczności, bo aktorzy robią to wszystko autentycznie, ale w może właśnie ta ich surowość sprawiała, że ludzie tak bardzo przyjmowali wszystko do siebie i robiło to takie wrażenie.

### **13. Pałac w Oborach k. Konstancina**

To było tak. Jak te dawne dwory były budowane, to była piękna, prosta aleja lipowo-kasztanowa, która prowadziła do bardzo dużej bramy. Jedna połowa tej bramy ważyła chyba tonę albo pół. Żeliwna, kuta. Oczywiście, z jakimś herbem, ale nie

pamiętam, naprawdę, jakim. Był murek, za którym była taka jakby pierwsza część parku. Dalej aleja prowadziła do pałacu, podjazd był z dwóch stron, schodki, duży taras i sam pałac. [Pałac] był podobno z piętrem, ale w czasie wojny to piętro [zburzono] i zostało takie poddasze. Wysoki parter i poddasze. I to był pałac. Z lewej strony był wielki sad i ogród, w którym był dom ogrodnika. W tym domu mieszkała moja rodzina. Na mieszkanie w tym domu, bo tam mieszkań było dwa, zamienili się rodzice. Ci ludzie pojechali do Wrocławia, a my przyjechaliśmy tutaj. Więc ja mieszkałam w tym domu ogrodnika, a z drugiej strony tego pałacu była oficyna. To wszystko było zagrodzone. Natomiast za ogrodzeniem i za oficyną był piękny park. Za parkiem były tak zwane czworaki. Tam mieszkali ludzie, którzy pracowali w majątku właścicieli tego pałacu. Musiałabym narysować to wszystko, ale tu się właśnie wjeżdżało, tu był pałac, tutaj sad, tutaj te czworaki, a wszystko to okalało pięć stawów. Stawów rybnych. Bo tam teren jest taki bagienny. Teraz może już dawno zmeliorowany, tak sądzę, ale wtedy było pięć stawów rybnych. I za ostatnim stawem, bo one tak zakolały, za pałacem, przechodziło się przez mostek i była gorzelnia, to znaczy, browar, tam się piwo warzyło. Tam właściciele warzyli piwo dla siebie. A dalej to już były pola, łąki, był też wybieg dla koni, bo tam były piękne konie., A jeszcze zaraz przed oficyną, jak się tylko wjeżdżało to po prawej stronie był taki długi [budynek], to były stajnie właśnie. I piękne konie, zresztą araby. Później ten majątek, te czworaki stały się własnością Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, SGGW. Tam na przykład przyjeżdżali studenci na praktyki. A pałac, park i sad zostały oddane na dom literatów, którym zajmowało się Ministerstwo Kultury, jak sądzę. Ale dopóki był ten PGR, to tam, w stych stajniach jeszcze były konie. I na przykład pan Olbrychski przyjeżdżał jeździć konno, ćwiczyć jazdę. Natomiast to nie było tak, jak teraz, że można sobie pójść nauczyć się jeździć, gdzie się chce. Tam były osoby szczególne, wybrane. Ale można było popatrzeć na tę jazdę, bo tam, gdzie się rozpoczynała ta aleja, była droga i po drugiej stronie drogi ogrodzone miejsce, gdzie te konie się wyprowadzało, żeby pojeździć, poćwiczyć. A czasami jeździli sobie po drózkach, po różnych ostępach. Okolica jest przepiękna, bo nad tymi wszystkimi stawami są posadzone takie wierzby, które nie rosną, tak jak te nasze wierzby rosochate, mazowieckie, tylko one są takimi kapustkami.. A za stawami już był olszynowy las, podmokły, gdzie stała woda, były łąki i bagna. Potem to trochę osuszono, ale to była taka naturalna dobra zagroda zabezpieczająca te tereny pałacu. Tak kiedyś budowano, wszystko było przemyślane. To jest naprawdę piękna okolica. W tej chwili zmieniona bardzo, dlatego że na tych polach, poletkach różnych powstały osiedla, stoją domki. Dobrze, że ludzie sobie fajnie mieszkają, ale to już jest zupełnie inny pejzaż.

#### **14. Żeby za darmo nie dostać cukierka**

Ja się nauczyłam, że żeby za darmo nie dostać cukierka, to się zbierało kwiatuszki. Na przykład wiosną było mnóstwo fiołków. Albo niezapominajki, tam po prostu rosły

całe łany tego. Kiedyś zrobiłam bukiecik, miałam wtedy –nie wiem –może sześć lat, siedem. I spotkałam pana Brodzkiego. On się pewnie zapytał: „Dla kogo?” Ja mówię, że chętnie mu oddam ten bukiecik. –„No to ja ci dam za to cukierka” Dał mi cukierka jednego. Ja tak patrzę i mówię: „A dla Danusi”, czyli dla mojej siostry. Dał jeszcze jednego. –„A dla Kazia?” Jak już wymieniałam całą rodzinę, powiedziałam: „Dziękuję” i poszłam. Takie są dzieci. Ja sam ten fakt pamiętałam, ale jak wyglądała dalsza część, to tego ja już nie pamiętałam, to opowiedziała mi mama. Myślę, że to pan Brodzki przyszedł jej opowiedzieć, jak to było.

### **15. O tym moim dzieciństwie cudownym**

O, to jeszcze opowiem o tym moim dzieciństwie cudownym i o piesku naszym kochanym, Misiu. To był kundelek przywieziony z Warszawy, zresztą od rodziny. Wspaniały, kochany, mądry, który nas uwielbiał i bronił cudownie, naprawdę. Stoczył wiele różnych walk i ze szczurami, i z ludźmi, i z innymi psami, bo sytuacje były różne. Ale Misio, ponieważ nie zawsze był na łańcuchu, zorientował się, że warto pobiec do pałacu, jak jest pora obiadowa. Więc Misio przychodził do pałacu, siadał grzecznie, nigdy nie był natrętny. Widocznie ktoś kiedyś tutaj u nas na podwórku go tego nauczył, bo podobno tak siadał i czekał. Ale dalsza akcja była jeszcze inna, bo ponoć ktoś tam do niego mówił: „Misiu, a zaśpiewaj” na to Misio: „Auuuuu.” To się okazało, kiedy jacyś państwo przyjechali do nas, tam właśnie do tego domu ogrodnika z szyneczka po śniadanku dla Misia. To my tak [zdziwieni] wszyscy patrzymy, że Misio takie sztuki potrafi. –„Misiu, zaśpiewaj” a Misio śpiewa i dostaje szyneczkę.

Natomiast wspaniałe jest to, jak moja mama wspaniale z nami sobie poradziła, jak my poznaliśmy świat, życie, przyrodę. W naszym domu wychowywały się wiewiórki, jeże, sowa puchacz, moja kawka. Mama jej zrobiła łupki, bo jej łapka była złamana. Wszystko było. Myszy, psy, koty i tak dalej. Przynieśliśmy wiosną zaskrońca. Mama prała w balii oczywiście wtedy, na tarze –to była wtedy pralka –a my tego zaskrońca w pudełku od butów postawiliśmy przy kuchni. Jak on się zagrzał, to tak się zaczął wysuwać, więc jak moja mama to zobaczyła, to i balia i wszystko poszło. Mieliśmy kozę, która była cała czarna, a tylko łatkę miała białą na plecach i nazywała się Czarna Mańka oczywiście. Jak to w Warszawie na Pradze, Czarna Mańka. Koza mnie ganiała, ale nie robiła mi nic. Z domu było wyjście od podwórka i od ganku i ta koza za nami biegała [po całym domu]. My po schodach na górę, przez całe mieszkanie, przez ganek i ta koza za nami, i na stół i wszędzie. Więc mama mówi: „Dosyć tego” Tatuś wziął deseczki pyk, pyk zabił jedne drzwi i skończyło się bieganie z kozą przez całe mieszkanie. Był kogut, który miał na imię Michał i który uwielbiał mojego brata, wychodził po niego, jak brat kończył szkołę. Kogut Michał stoczył walkę na podwórku z poprzednim kogutem, stanął na budzie, zapał. Wszystko to widzieliśmy. Dzieci teraz na to kreskówkach oglądają, a ja to widziałam na własne oczy. Dla mnie to wszystko było, jak bajka po prostu.

Czternaście lat mieszkaliśmy w tych Oborach, w tej miejscowości. Tam było to moje przepiękne dzieciństwo. Chociaż mamie było bardzo ciężko, bo wprawdzie domek był murowany, ale wilgoć była straszna. Tam ściany mieliśmy zimą takie szkliste, jak w bajce. I też było daleko, trzeba było wszędzie jeździć na rowerze. Ludzie byli różni, bo my byliśmy takim zupełnie obcym elementem dla tamtych ludzi. Ale jakoś dało się przeżyć. Moje rodzeństwo jest starsze ode mnie, więc my wszyscy przyjechaliśmy z miasta, ale z miasta jeszcze bardzo, bardzo niebezpiecznego, gdzie było mnóstwo gruzów. Pamiętam, że na naszym podwórku były jeszcze kamienice takie całkiem w ruinie. To był pięćdziesiąty szósty rok, a jeszcze było dużo takich miejsc. Zresztą mama chciała być tak bliżej swoich terenów i myślę, że dobrze zrobiła [opuszczając Wrocław].

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-09-12, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"